

MAGDALENA REWERS

W mroku miasta
Szeptu

Magdalena Rewers

W mroku miasta

Tom III

Szepty

© Copyright by
Magdalena Rewers & e-bookowo

Projekt okładki:
Magdalena Rewers

ISBN e-book: 978-83-7859-898-5

ISBN druk: 978-83-7859-899-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2017

Książkę tę dedykuję
Bożence Powalowskiej z Chojny
z podziękowaniami
za jej prawdziwą, szczerą przyjaźń

Prolog

Ziemie Polan – IX wiek

O świcie mgła zaczęła opadać.

W niedzielny ranek gród wciąż pogrążony był we śnie – leniwy bezruch panował tu niepodzielnie, jak gdyby nieszczęścia, które spadły na mieszkańców Toporów, nie były jego udziałem. W oddali, niczym majaczące zjawy, zaczęły wyrastać kikuty dębów – na skraju bagien las za jeziorem wracał na swoje miejsce, wyrывая się z objęć nieprzejrzystych obłoków. Martwe wody toni wciąż jednak zasnuwał biały tuman.

Poszarzały ze zmęczenia, udręczony Chwalimir, tłumiąc rosnącą złość, wyszedł z chaty i spojrział na wynurzający się spoza gęstej zasłony bór. Przez całą noc znachorka warzyła miksturę, a on patrzył, jak miazdzy, rozgniata, miesza i pali zioła, pióra, krew i wszelkie przyprawiające o skręt żołądka paskudztwo. W duchu powątpiewał w moc staruchy, co rusz przenosząc z niej wzrok na zasłane skórąmi łożo, na którym konał powalony chorobą ojciec. Jeśli bogowie nie zechcą ich wysłuchać, wszystko będzie na nic. *Wiedźma, magiczne moce, mikstury... na nic, jeśli bogowie nie okażą łaski.* A że czas już jakiś nie mieli litości dla Toporów i rodziny Chwalimira, nikt nie wątpił. Świa-

dectwem wróżb i zaszłych wypadków ów rok nie zapowiadał się szczęśliwie. Jeszcze na jesieni przeszłego roku gadano, że w odległej osadzie dziewczka powiła dwugłowe dziecko; a przed zimą chłopci dostrzegli wynurzającą się z jeziora rogatą głowę olbrzymiego stwora. Nie musieli długo czekać na wypełnienie złych proroctw, bo właśnie w wiosennej zarazie marły chmary. Tak, mimo wiedźmich uroków i zaklęć czarownic nic nie zwiastowało szczęścia na nadchodzący rok.

– Bracie... – Głos Lechosławy wyrwał go z odrętwienia.

– Odstąp – odpowiedział, nie odwracając się w jej stronę.

– Bracie...

– Proszę – wyszeptał. – Mgła to? A może to oni ze świtem odchodzą? – spytał chwilę potem, mówiąc jakby do siebie, wbijając skupiony wzrok w ścielący się na jeziorze tuman.

– Jacy oni? – Lechosława spojrzała w tamtą stronę.

– Ci, co odeszli. Wiesz, że są... Na jeziorze i na bagnach... i jak tuman się wzbijają...

– Nie słuchaj wiedźmy – przerwała mu stanowczo, by wyrwać brata z obłądu, który, zdawało się, coraz częściej go nawiedzał.

– Ja też ich widziałem.

– Chwalimirze... – zaczęła spokojniej. – Choroba ojca, to nie jest zwykła boleść. Wiedźma na nic się zda.

– Musi się zdać. Nie mamy w grodzie zercy¹ – odpowiedział, bo w jego sercu wciąż tliła się nadzieja.

– Gorączka nie ustępuje...

– Urok, to urok – przerwał siostrze, być może nazbyt ostro.

¹ Zerca – kapłan-ofiarnik u dawnych plemion słowiańskich.

– Oby – odpowiedziała i weszła do izby.

Chwalimir jeszcze raz spojrzął w stronę niknących przed ścianą lasu mglistych oparów, jakby w nich szukał, jakby wypatrywał. A potem westchnął ciężko i spuściwszy głowę, wszedł za siostrą dokładnie w chwili, gdy znachorka zaczynała uroki.

– Na trzy palce – zaskrzeczała, skrywając twarz w obłokach dymu unoszącego się znad misy z ziołami. – Trzeba upić na trzy palce, potem odczynić czar i znów upić. A potem może zasnąć. – Splunęła w parujące zioła, które zaskwierczały paskudnie, i podsunęła je konającemu.

Dym i duszący zapach snuły się po izbie, osiadając na pękach skór, suszonych ryb i ziół pod powałą, i na ścianach, pod którymi na wielkim leżu konający starzec jęczał w boleściach. W drżących dłoniach dzierżył naczynie z wywarem. Upił, pochylił głowę, przymknął powieki i opadł na skóry. W ostatniej chwili Lechosława chwyciła misę z jego dłoni, a gorliwa wiedźma wciąż mamrotała uroki.

– Ojcie... – wyszeptała niewiasta, podsuwając starcowi dymiący napar.

Byli tu wszyscy czworo – Bohusz i Lechosława, i najmłodszy Mieszko, ale to średni syn, Chwalimir, zawsze był najbliższy ojcu i to on cierpiał teraz najbardziej.

O wszechwładni bogowie! Nie odbierajcie mi i jego! – zanosił w duchu błagania. Raptem miesiąc temu, mimo uroków i zaklęć, mimo ofiar i obietnic, które składał bóstwom, śmierć wykradła mu żonę i dziecię. A teraz sięgała po ojca. Nie dość jej było dziesiątków dusz, które zabrała z wiosenną zarazą? W pobliskich osadach pomór zbierał żniwo równie obfite, ale cóż Chwalimi-

rowi do tego? To nie tam marli jego najbliżsi. Niech zaraza zabierze i setki, tylko z dala od Toporów. Ale Nyja – władca podziemi, władca zaświatów i nocnego nieba, żądał kolejnej ofiary, kolejnego życia właśnie tu, pod strzechą Chwalimira. Młody mężczyzna stał zgnębiony i bezradny w ponurym cieniu kąta izby i ocierając łzy, pogrążał się w swojej niedoli.

Ledwie trzy lata temu, a zdawało się jakby wczoraj, ożenił się z Mojmirą, rok później na świat przyszła Nawojka, a dziś nie było już przy nim żadnej. Dziś pozostał jeno ten starzec, bo cóż rodzeństwo – każde z własnym losem. Ale starzec konał właśnie. Dokąd odeszło szczęście Chwalimira? *Może gdybym miał więcej żon...?* – pytał nieraz samego siebie, szukając przyczyn złej doli. Bogowie błogosławili wielożństwu, ale on nie potrzebował kolejnej żony. Czy za to dziś bóstwa tak okrutnie go karały? Bez ofiar nie można było ich wielbić, wiedział to, ale dlaczego, karmiąc żądną krwi boskość, wydarły mu co najcenniejsze? A teraz żądały jeszcze tego starca. Jeśli zabiorą i ojca, nic już nie będzie go tu trzymało.

Minął mglisty poranek i pochmurny dzień – do późnej nocy żyli wiarą, że urok i mikstura wiedzy przywróci do sił rodziela. Ale gdy blisko kolejnego świtu Lechosława zaczęła szlochać, porzucili nadzieję – ojciec odszedł na zawsze.

Przez kolejne dni zjeżdżali żałobnicy, by na żałobnym stosie na obrzeżach grodu, wyprawić go w ostatnią drogę. Ale gdy wyniesiono umrzyka z chaty, gdy ruszył orszak i zadęto w rogi, Chwalimir narzucił kurtę z niedźwiedziej skóry i lisią czapę, i z nędznym tobołkiem oraz bochnem chleba wyszedł poza gród. Nie czekał końca ceremonii. Dość miał śmierci, pochówków, łez i lamentów – dość żałoby.

Dokąd teraz? – pomyślał, ruszywszy w drogę. Na północy morze, na południu góry. Nigdy nie był tak daleko. Znał to, co na wschód i to, co na zachód od Toporów, słyszał o przygranicznych plemionach – jedne budziły trwogę, inne szacunek, ale co kryło się dalej?

Choć wczesna wiosna zaczęła zielenić już ziemię, a świat stał przed nim otworem, nie czuł radości. Stojąc w zastępie na skraju osady, ostatni raz rzucił smutne spojrzenie w stronę wielkiego płomienia, a potem ruszył przed siebie.

Jesień nadeszła nie wiedzieć kiedy. Opadłe liście zasłały świat, wilgotne mgły znów snuły się o poranku, a wieczorami przenikliwy chłód gasnącego listopada doskwierał, szczypiąc twarz i dłonie, noce zaś stały się nieznośne. W szarej i wrogiej okrywie kniei liche już dziś odzienie nie wystarczało, by przetrwać lodowatą noc. Chwalimir musiał znaleźć schronienie.

Od miesięcy wędrował samotnie od grodu do grodu, od osady do sioła. Otwierano przed nim wrota, a wtedy skulony gdzieś w kącie posilał się, przesywał do rana i ruszał dalej. Czasem omijał ludzkie sadyby z własnego wyboru, kiedy indziej zaś uciekał przepędzany i szczuty psami. Sypiał wtedy w leśnych szałasach i pod gołym niebem. Kiedy wyły wilki, krył się w koronach drzew i przywiązany rzemieniem zasypiał płytkim snem, czuwał. Sklecił łuk, strugał strzały, polował, zbierał jagody. Ubranie zmieniło się w łachmany, twarz ogorzała i pokryła się gęstym zarostem, zmierzwione włosy sięgały łopatek, dłonie stwardniały. Z każdym dniem Chwalimir stronił od świata ludzi bardziej i bardziej, stając się złachmanionym dziwadłem. Trud-

no by w nim szukać bodaj cienia przystojnego młodzieńca, który łowił na jeziorze i polował w lasach, biał z kompanią przy ognisku, a nocami pieścił żonę. W końcu przywdział żebraczy łań z kapturem, w rękę chwycił kostur i tak wędrował dalej, bo wędrownka dawała ukojenie. Myśli skupione na drodze nie wracały do Toporów i do najbliższych, którzy odeszli, a wraz z nimi sens jego istnienia. Takie myśli napawały bólem – fizycznym, ostrym, dojmującym – więc postanowił wymazać Topory z pamięci aż do dnia, gdy dręczący ból minie. A czy ów dzień nadejdzie? Wola bogów... Być może wcześniej i jego śmierć zabierze.

Mijały go wędrowcy i konni, mijały kupieckie karawany. Nie bał się obcych – cóż gorszego niż śmierć mogłoby go spotkać?

– Ojczy! – zawołał zboląłym głosem, jak wiele razy wcześniej, widząc o świcie snującą się zjawę.

Zjawy towarzyszyły mu często. Budził się na granicy nocy z dniem w mglistych tumanach i czekał – szukał ich i z nimi kontaktu. A ojciec przychodził najczęściej. Dlaczego? Czyżby stara dusza nie mogła zaznać spokoju?

– Ojczy! – powtórzył, ale zjawa rozplynęła się jak zawsze... mgła.

A może to tylko wytwór stęsknionej wyobraźni? Jeśli tak, dlaczego widywał tylko ojca? A Mojmira? Wciąż miał w pamięci splecione w warkocz lniano-złote włosy i drobne kosmyki, które wymykały się i niczym złotawa poświata okalały jej jasne oblicze. I oczy jaśniejące błękitem, i pełne, koralowe usta, dziewczęcą lekkość i radość bijącą z jej twarzy. I tę magiczną chwilę, gdy ujrzał ją po raz pierwszy – bosą i zwiewną niczym rusałka, gdy dostrzegł ją nad brzegiem jeziora. Nie zauważyła go, jak nadszedł od strony drzew, ale on ją wypatrzył. Wiedział, że jest mu

przeznaczona – plemienny obyczaj dawno wyznaczył mu żonę, dlatego stał skryty za sitowiem, by móc jej się przypatrzeć. Czy ona o nim wiedziała? Nie sądził. Śpiewała cicho, brodząc przy brzegu, a na jej twarzy igrał lekki uśmiech. Oczarowała Chwalimira.

– Jesteś rusałką? – zapytał, gdy dziewczę o miękkim głosie spojrzało w jego stronę. – Nie możesz być prawdziwa – zachwycał się, podchodząc bliżej.

– Ja? Ja... nieee – dziewczyna zaśmiała się płocho. – A wy? Znam was, jesteście Chwalimir.

Przytaknął, pochyliwszy głowę w pokłonie, wciąż nie spuszczać z niej wzroku.

– A ty? Jesteś Mojmira...

– Jestem – odpowiedziała i roześmiawszy się, uciekła.

Rozwiała się niczym mgła – ta mgła, która teraz budziła się obok niego każdego ranka. Czy mgła była Mojmirą? A może Chwalimir tracił rozum?

Właśnie wyszedł z lasu i wbiwszy kostur w ziemię, rozejrzał się po okolicy. Ogromna ziemiście szara, jesiennie ponura polana, a na niej błąkające się konie. I nigdzie żywej duszy. Nikt nie doglądał stada, za to w oddali, w rudej poświacie zachodzącego słońca, majaczyło ludzkie siedlisko. Odepchnął się kosturem, dzierżąc go mocno w dłoni i ruszył przed siebie.

Ledwie przekroczył granicę sioła, poczuł cierpki zapach śmierci. To była mała osada – kilka chałup, kilka gniazd rodzinnych na skraju lasu blisko potoku. Ale jej mieszkańcy nie obronili się przed śmiercią. *Co przeszło przez tę wioskę? Coś spadło na nich zniecka* – myślał poruszony, rozglądając się niepewnie.

Pośrodku placu tliło się jeszcze ognisko, a wokół niego ciała kobiet i dzieci leżały zbroszone krwią, rozszarpane, z przerażeniem wyrytym na martwych twarzach. Ciała mężczyzn, poharatane jak tamte i z powyrywaniem członkami rozrzucone były wszędzie – może toczyli walkę.

Chwalimir z przerażeniem błędził po tym cmentarzysku, zaglądał do chałup – trupy, trupy, trupy. Przystanął obok ciała młodej kobiety, które we wrzosowym wianku szyderczo zdobiącym martwą głowę, leżało w kałuży krwi sączącej się z szarpanej rany u zbiegu szyi i obojczyka. Wylęknięty wzrok, usta otwarte do krzyku i ręka wyciągnięta daleko przed siebie, jakby kogoś przyzywała. Przykucnął i przyjrzał się ranie. Nie mylił się – rzeź była sprawką wąpierz². Która to już osada z tak bestialskim piętnem potwora? I dlaczego przeznaczenie wiodło go jego śladem? Czy i jemu pisane było stanąć z bestią oko w oko? Jeśli tak, nie zamierzał się bronić – wolę życia stracił już dawno, jeśli więc wąpierz był losem nakreślonym mu przez bogów, niech będzie.

Noc spędził w zagrodzie dla zwierząt, bo tylko tam był wolny od krwi i trupów kąt. Gdy następnego ranka opuszczał osadę, za jego plecami trzaskały płomienie. Płonęło kolejne siedlisko, któremu wąpierz zgotował śmierć, a on, niczym sprzątaczkę śmierci, darował pochówek. Chwalimir przystanął na skraju polany i patrzył, jak wielkie pogorzeliśko jaśnieje ognistą luną; w końcu odwrócił twarz do słońca i znów ruszył w drogę.

– Dokąd los prowadzi? – wiele czasu później spytał łamaną mową człowiek, który nadjechał konno z tej samej strony.

Odziany w skóry obcy, z płaską twarzą o wąskich oczach

² Wąpierz – dawna nazwa wampira.

i dziwnie przyciętej brodzie, trzymał na ramieniu sokoła. Ptak zimnym okiem lypnął na złachmanionego tułacza, a potem z piśkiem zerwał się do lotu.

– Dokąd nogi poniosą – padła niechętna odpowiedź w chwili, gdy skośnooki człek zsiadał z konia.

Obcy chwycił uzdę i prowadząc swe zwierzę, szedł, nie odzywając się więcej.

– A wy? Coście za jeden? – spytał Chwalimir szmat drogi dalej, gdy dziwny towarzysz nie odstępowała od niego.

– Podążam z kupcami.

– Gdzie więc ci kupcy?

– Za nami. Rychło nas dogonią.

Tyle że Chwalimir nie szukał towarzystwa. Samotność była mu milsza niż jakikolwiek kompan, ale skoro los zesłał tego pielgrzyma... Trakt był dla wszystkich, więc powędrują razem, aż znów będzie mógł uciec w samotne tułactwo.

– Świat jest wielki. Ma wiele krain. I mało życia, żeby je wszystkie przejść – na końcu dnia, pod ciemnym niebem, opowiadał odziany w skóry i szpiczastą czapę kupiec z dalekiego kraju.

Mówił łamaną mową, wiódł za sobą dziwne zwierzęta i podobnych jemu ludzi o płaskich twarzach, wąskich oczach, czarnych włosach i słonecznej skórce. Karawana rozbiła obóz na skraju lasu, gdzie zasiedli w blasku ogniska. Ogień grzał przyjemnie, a na ruszcie skwierczało zajęcze mięso.

– Świat mnie nie ciągnie – rzekł na to Chwalimir.

– Wiem. Wy nie chcecie poznawać, nie szukać... wy uciekać.

– Nic o mnie nie wiesz, cudzoziemcze.

– Ja dużo wiedzieć. Dużo widzieć.

– A śmierć... Widzisz śmierć? – syknął Chwalimir. – Śmierć podąża moim śladem, a ja jej.

– Demony... One zmienić twoje życie. Ale jeszcze nie dziś. Dziś ty bezpieczny, z nami. Dziś ty śpisz spokojny.

Wbrew wieszczoniu kupca tej nocy Chwalimir nie zmrużył oka. Słowa cudzoziemca tłukły mu się po głowie równie donośnie, jak donośne było pohukiwanie puszczyka i lisie wycie niby jęk rozdzieranej duszy. *Co miał na myśli ten dziwny człowiek? I o kim mówił?* – Chwalimir zbierał myśli. Jeśli o zjawach, to już teraz chciał spotkać te demony. Wśród nich był ojciec i była Mojmira, więc tak – niech demony się zjawią. A jeśli o wąpierzach... *Ilu ich szło? Wieść niosła, że wąpierz to samotnik, ale ile w tym prawdy? Bo czy jeden wąpierz mógł w ciągu nocy wytrzebić całą osadę? Co tam osadę – cały gród?* – pytanie gońiło pytanie.

O świcie nie było mgły, za to był tumult – skośnoocy ludzie uwijali się w pośpiechu, pokrzykując do siebie w śmiesznej mowie, garbate zwierzęta podobne do wielkich koni porykiwały, a sokół krążył nad obozowiskiem, pogwizdując. *Swoją drogą, dziwne stwory. Czy takie żyją w ich krainie?* – zastanawiał się Chwalimir zauroczony majestatycznymi wielbładami, których nigdy wcześniej nie widział. Ale prawda była taka, że kupcy, wędrując od grodu do grodu, gromadzili co ciekawsze okazy, tak dla uciechy, jak i dla własnej wygody, a więc te dziwne zwierzęta mogły pochodzić z dowolnego zakątka świata.

Kupcy ruszyli w drogę, ale on nie podążył ich śladem. Zszedł z traktu i zaszył się w głuszy.

W nocy odgłosy lasu znów otoczyły tułacza, ale nie przerażały – już nie. Znał bór; wiedział, że tylko wycie wilka i głośny

ryk niedźwiedzia niosą zagrożenie – wszystko inne to życie lasu.

Obudził go tętent kopyt – brzegiem jeziora jechali konni. Kopyta spieniały wodę, z końskich chrap szła para, co rusz słyszał rżenie. Przycupnął więc w krzakach na pagórku i obserwował. Dziesięciu zbrojnych – hełmy, szyszaki, miecze, włócznie, tarcze – drużyna. A więc nie demony, nie wąż. Ile prawdy kryło się w przepowiedni kupca?

Kolejny tydzień co dnia Chwalimir wypatrywał swego przeznaczenia, ale wciąż tułał się jak dotąd. Bywało, że otworzył rano oczy i czuł się zawiedziony. Czy kupiec się pomylił? Czy prócz żebraczej tułaczki nie było już dla niego innego losu? W chwilach takiego zwątpienia snuł się jak w letargu.

Kiedy śnieg pokrył ziemię, ludzie zamknęli się w chałupach, a i zwierzęta pochowały gdzieś, by przeczekać. Ciężki czas nastał dla wędrowców. Dlatego, gdy pewnej nocy dostrzegł lunę z ogniska i usłyszał rozmowy, serce Chwalimira drgnęło. Myśl o żarze z ogniska i ludziach, przy których choćby na krótko zapomni o niedoli była mu miła. Chwytał mocniej kostur i ruszył w tamtą stronę.

*

Jak przez mgłę pamiętał zdarzenia tamtej nocy. Ale przesywający chłód skalnej nory zawartej potężną kratą był prawdziwy. A i dziwne zmiany, które czuł w swoim ciele, utwierdzały Chwalimira, że obrazy majaczące w jego głowie nie były snem. Czy działo się to zeszłej nocy, czy dawniej, nie wiedział. Niemniej, jakie to miało znaczenie, gdy nieznośnie bombardowały

go hałas i smród, a czasem jaskrawe obrazy? Coś działo się z nim i wokół niego. Coś, czego nie umiał wytłumaczyć. Co robił w tej klatce? On i dwóch zwalistych chłopów w siermiężnych kaftanach? *I dorodna niewiasta, która tak smacznie pachnie?* – pytał samego siebie, gdy pulsująca na szyi kobiety tętnica kusiła coraz bardziej.

Nim skołowany umysł poskładał w całość wszystkie elementy, zwaliści chłopci rzucili się na kobietę i przy wtórze przeraźliwych krzyków ofiary wgrzyźli się w jej szyję. Ssali i mlaskali, i ssali, i mlaskali, i ssali... i zatracali się w przerażającej uczcie, aż nie pozostała w niej kropla krwi ani ogarek życia. Zaś to, co nastąpiło potem, Chwalimir wymazałby z pamięci na zawsze – gdyby tylko mógł. Ale nie mógł, dlatego do końca swych dni będzie pamiętał bezczeszczone martwe ciało niewiasty, którą dwie zdziczałe bestie z ociekającymi krwią pyskami i srebrzącymi ślepiami gwałciły bez opamiętania. On natomiast zaszył się w rogu klatki i odwracając wzrok od makabrycznego spektaklu, ssał własne palce, by choć po trosze zagłuszyć pragnienie. Pragnienie, które wiedzione apetycznym zapachem krwi, wyło o zaspokojenie.

– Jesteś twardy – rzucił w jego kierunku chłopak po zewnętrznej stronie krat.

Dopiero teraz go zauważył. Młokos stał z szyderczym uśmiechem i zdawało się, że ogląda ów horror z lubością.

– Tak, ty – dodał, gdy Chwalimir zaczął rozglądać się po klatce; mówił dziwną mową, płataniną wielu narzeczy, ale wystarczająco czytelną, by go zrozumieć. – Jesteś twardy. Nie jak te śmieci – wypluł z siebie z pogardą, patrząc na umazane krwią gęby, w których ślepia zionęły dziką żądzą, a ubroczone kły sterczały makabrycznie.

Chwalimir mimowolnie dotknął swoich zębów. *O bogowie!* Też je miał! Był jak te dwa potwory! *A więc jednak...* *Wizja kupca się dokonała* – przemknęło mu przez myśl, a w jego sercu mościła się trwoga.

Demony go dopadły!

Ze wszystkich koszmarów, jakie znał świat, wapiersz zdawał się najokropniejszym. A teraz on był wapierszem. Był potworem. Co gorsza, potworem dźwigającym brzemień swego cierpienia. Mojmira, Nawojka, ojciec... będą rozdzierać i wykrwawiać jego serce przez stulecia. *Dlaczego?!* – w bezgłośnym krzyku pytał bogów, ale ci byli głusi.

Nie rozumiejąc zrzędzenia losu, bijąc się z nową naturą, Chwalimir skulił się w kącie ogarnięty trwogą. Oparł czoło o kolana i schował głowę w ramionach. Dygotał... z rozpacz, przerażenia, niemocy. Cierpiał.

Gruby łańcuch zaczął tłuc się po kratkach – stojący za nimi chłopak otwierał klatkę. W jednej chwili umazane krwią bestie porzuciły trupa i ze sterczącymi kutasami dopadły do furty.

– Wara! – syknął młokos, wbijając w nie demoniczne spojrzenie równie srebrnych oczu.

Bestie skuliły się posłusznie.

O zgrozo! Chwalimir jeszcze szczelniej wbił się w kąt. Uniósł głowę znad kolan i utkwiał w chłopaku zalękniony wzrok. Mimo lawiny wątpliwości, jakiś wewnętrzny głos nakazywał mu posłuszeństwo wobec tego niedorostka. Niedorostek tymczasem skinął w jego stronę.

– Chodź – nakazał i szeroko uchylił furtkę. – Jak cię zwą? – spytał chwilę później, na powrót zamykając celę.

– Chwalimir.

– Ja Gejza, twój pan.

Takie pacholę? – przemknęło przez myśl Chwalimira. Ale jakie znaczenie miała złudna powłoka stwora ponoszącego winę za jego niedolę? Ważniejsze było, kim stał się on sam i miejsce, do którego trafił. A miejsce było odrażające – gdy przekroczył próg klatki i spojrzął przed siebie, to, co ujrzały jego oczy, zmroziło mu serce. Stał na skraju skalnego występu, a pod nim i nad nim, jak w gigantycznym leju, wijące się schody, które prowadziły do kolejnych poziomów skalnych występów. Na każdym poziomie szpalery klatek podobnych tej, która teraz miała być jego domem, a w nich setki gnieźdzących się, wlokących plugawy żywot potworów. Brudne, umazane krwią, ze szkaradnymi pyskami i kłami sterczącymi z tych pysków paskudnie. Ze ślepiami dziko ziejącymi srebrem i z żądzą mordy w tych ślepiach. Czepiały się krat, wyły, jęczały albo mlaskały oblesnie. Kto trzymał w ryzach tę hordę? Zdawało się, że mały okrutnik stojący obok miał dość mocy, by trzymać w garści ich wszystkich. A jednak ktoś musiał choćby dostarczać im strawę. *Strawa...* – lodowate ciarki przemknęły po plecach Chwalimira. A może Gejza nocami puszczał ich na żer? To tłumaczyłoby rzezie napotykaną po drodze. Że stwory wrócą do nor, Gejza mógł być pewien – zdawało się, że psy nie mogły być posłuszniejsze od tej czeredy, która kiedyś była ludźmi. Czy od teraz wynaturzenie, upodlenie i zgnilizna miały też znaczyć los Chwalimira?

– Dziwisz się? – spytał chłopak, bynajmniej nie oczekując odpowiedzi. – Moja hodowla. – Wskazał ręką pnącą się ku górze i biegnącą w dół ścianą ze skalnymi występami. – Moi niewolni-

cy – dodał z arogancją, wodząc po nich wyniosłym spojrzeniem.
– Wieki wędruję po świecie. Bywam na ziemiach wyspiarskich ludów. Brytowie, Celtowie... – wymieniał. – Morduję, grabię i zbieram okazy – przechwalał się swoim okrucieństwem, dumny jak paw ze swego ogona.

– A ja? – Chwalimir spytał niepewnie.

– Okaz. Ale jesteś twardy. To rzadkie. Nadasz się bardziej niż inni.

– Do czego?

– Do panowania nad światem.

Panować nad światem?! Bogowie! On ledwie zaczął poznawać ziemię za plemiennymi granicami. O Brytach i Celtach nawet nie słyszał – gdzie żyli? Wyspiarskich ludów też nie znał wcale. Więc jak miał zdobywać świat? A jednak w jego ciele, a nawet w niechętnym umyśle, nieznaną dotąd energią rwała się do działania. Dzikość świerzyła pod skórą, jurność i siła toczyły bój z roztropnością. Aczkolwiek powściągliwość czy zwykła, ludzka prawość mogły mu przynieść zgubę, lecz tego jeszcze nie wiedział, bo nie do końca pojmował swoje położenie.

Bijąc się z myślami, Chwalimir szedł za Gejzą, jak mu ten nakazał. Gdy weszli do lochu z kamiennym stołem i kamiennym paleniskiem, a on ujrzał maga w powłóczyściej szacie, wciąż nie rozumiał, jak ciężkie czekają go próby. Ani gdy mag, uwarzywszy miksturę, rozgrzewał w ogniu metalową pieczęć. Pieczara okultysty nie musiała niczego tłumaczyć. Ale gdy nakaz Gejzy powalił go na kolana, a łysy starzec z szaro-siwą brodą upuścił mu krew i zmieszał z miksturą, Chwalimir zdrętwiał porażony trwogą.

Bolesne, głębokie piętno wypalano mu długi, miksturę wcie-rano w ranę, póki ślad krwi nie wyrzył się w niej na wieczność,

zaś niewolnicza uległość zaklinana guślarską mantrą zrodziła się mimo woli i przypieczętowała okrutny los słowiańskiego młodzieńca. Tej nocy jednak zrodził się też bunt, który miał zeń uczynić woja... wodza... a w końcu i króla.